

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

Jest pasjonatem. Nie tylko pisanie, bo i podróży, bo i peregrynacji po bezdrożach Historii. Maniakalnym zwolennikiem społecznych ruchów: uwielbia obserwować początkowe wybuchy i końcowe akordy dogasających rabacji. Podpatrywać narodziny odwiecznych rozczarowań: eksplozje ulicznych zamieszek i przejściowe fajerwerki pałacowych przewrotów. Polityczne i socjalne rozgardiasze warte skomentowania.

Pisze nie zawsze zgodnie z konkretnym zdarzeniem i ich dosłowną lokalizacją. Natomiast wiernie z emocjonalnego punktu widzenia. Lecz ten jego konfabulacyjny styl ma uzasadnienie w specyfice formy przekazu: pojawia się tylko w książkach. Zaś w konwencji depesz i serwisów informacyjnych kierowanych do PAP, pan Ryszard ściśle trzyma się zdarzeń.

Dlatego należy oddzielać lakoniczne raporty przesyłane do kraju, od literackiej twórczości. W niej mógł sobie pozwolić na rozmach i głębię przemysłu. Natomiast teksty płodzone na zlecenie PAP, z konieczności niedługie, kłóć się z jego niepokornym i żywiołowym temperamentem epika; niejednokrotnie chciałby pogalopować po zawilosciach tematu, poszerzyć go i wzbogacić, ale redakcyjne wymogi krótkich depesz ograniczają mu wypowiedzi do niepokąźnych rozmiarów.

Nad czym ubolewa. Narzeka, że zamiast pisać książki, rozmienia się na drobne pisząc komunikaty, sprawozdania, mało istotne, politykierskie meldunki nie mówiące o przyczynach wydarzeń, ale przedstawiające ich skutki. Tęskni więc za spokojem, za chwilami, gdy będzie mógł bez reszty oddać się prawdziwej pracy.

Zanim to jednak nastąpi, męczy się i przyczyna swoje teksty.

Zmusza go to do bezustannego dokonywania wyboru, do miotania pomiędzy tym, co może, a tym, co powinien umieścić w artykule; galernicza praca nad słowem przynosi efekt w postaci stworzenia unikalnego stylu. Kapuściński, mistrz celnych sformułowań i lekkiego pióra, fanatyczny podróżnik po meandrach literatury, chodząca encyklopedia i doskonały znawca pisarskich technik, w trakcie tworzenia kieruje się empatią.

Nikt przed nim nie pisał w ten sposób: nie wchodził w skórę rozmówcy. Nie starał się przeniknąć przez najgłębsze warstwy jego psychiki. Nie usiłował zrozumieć drugiego człowieka, jego myślenia, lokalnych tradycji, zwłaszcza zaś – tylu istotnych różnic pomiędzy europejskim pojmowaniem kultury, a kulturami pozostałych kontynentów. Kulturami lekceważonymi i umniejszonymi przez naszą, bezpodstawnie zadufaną w sobie i swoich dokonaniach.

Podobnie, jak Malcolm Lowry, autor powieści „Pod Wulkanem”, jest chorobliwym czytelatorem słów: konstruuje swoją prozę z fragmentów wielu wersji jednego zdania, rozdziału czy akapitu, ze ścinków zanotowanych myśli i spostrzeżeń, w rezultacie czego powstają dzieła najeżone impulsywnością i rozedrganiem.

Edward Stachura

Urodził się 18 sierpnia 1937 roku we Francji, w rodzinie polskich emigrantów. Razem z rodziną wraca do Polski w listopadzie 1948 r. Maturę zdaje w Szkole Ogólnokształcącej Stopnia Podstawowego i Licealnego. Kończy studia w 1965 r. Ma dwadzieścia osiem lat, gdy zostaje magistrem filologii romańskiej. Popelnia samobójstwo w 1979 r. Tyle biografia pisarza. Pisarza – legendy, niekomunikatywnego, skłóconego ze sobą, a zwłaszcza ze swoim ojcem, prozaika żyjącego nadwrażliwością i od wrażliwości tej – ginącego codziennie.

Przed wszystkim – oryginalnego poety, nałogowego buntownika, niebanalnego reformatora i mistrza potocznego mowy, barda nazywanego polskim Jamesem Deanem, wzorem dla młodych pokoleń, a Stedem dla znajomych i „przyjaciół z nazwy”.

Wieczny podróżnik, wagabunda, śpiewak, a zarazem Londonowski tramp z gitarą, czyni ze swojej egzystencji wybuchową mieszankę, rodzaj językowego amalgamatu, mozaikę, splot nietuzinkowych myśli, w rezultacie czego dysponuje darem tworzenia niepowtarzalnych słów. Strojne brawurowym zapisem, tętnią wewnętrznym blaskiem i do czerwoności rozpalają wyobraźnię czytelnika i odbiorcy jego poetyckich, bezpretensjonalnych piosenek; erudycja Stachury i kolorystycznie własna plastyka wypowiedzi – zamieniając je w tęczę, obrazując „zwykłą”, szarą scenę odczuć.

Nieprzypadkowo nazywano go „świętym Franciszkiem w dzinsach”: kochał człowieka, kochał przyrodę, a zwłaszcza – swobodne wędrowanie po bezdrożach. Nie znośił hipokryzji, napuszonych rozmów, zakłamanych grymasów, cenil natomiast wolność wypowiedzi, ich nie udawaną siłę wyrazu, zwłaszcza zaś lubił swoje filozoficzne obserwowanie świata; opisywane przez niego postacie zamieszkują w prostych, niekomfortowych miejscach i takie też są ich dusze.

W utworach Stachury nie ma agresji, nie ma też pogardy. Jest za to wyrozumiałe spojrzenie na bliźniego. Odczucia, jakie ma każdy z nas, ale nie każdy z nas potrafi je przełać na papier, stanowią dla niego pokarm dla tworzenia, materiał wyjściowy do życiopisania. A ponieważ nie ma istotnej różnicy między nazwami wiersz lub proza, autor ten mówi: „wszystko jest poezją”.

Witold Gombrowicz

Sztuka jest arystokratyczna do szpiku kości, jak książę krwi. Jest zaprzeczeniem równości i uwielbieniem wyższości. Jest sprawą talentu, czy nawet geniuszu, czyli nadrzędności, wybitności, jedyności, jest także surowym hierarchizowaniem wartości, okrucieństwem w stosunku do tego co pospolite, wybieraniem i doskonaleniem tego co rzadkie, niezastąpione, jest wreszcie pielęgnowaniem osobowości, oryginalności, indywidualności.

Dziennik, 1960

Zacznę od cytatu: Poniedziałek – ja, wtorek – ja, środa – ja, czwartek – ja. Kiedy przeczytałem te słowa, na lata odrzuciło mnie od czytania *Dzienników*. I nie tylko od nich, bo pozostałe utwory dawno już skreśliłem. Szczególnie *Ferdynurke*, dzieło lekturowe, a więc z góry skazane na brak mojego zainteresowania.

Megaloman, zadurzony w sobie histeryk, stwierdziłem. Co taki zarozumialec może mi przekazać, czego nauczyć? Toteż, nie znając dzieł autora *Pornografii*, potrafiłem mieć o nim stanowczo szkaradne mniemanie. Ale z biegiem czasu wkroczyłem w następny etap i wygięło mnie w drugą stronę: poszedłem po rozum do głowy. Że zaś miałem do niej daleko, zajęło mi nieco, nim odkryłem: *Dzienniki* po czytaniu są mądrzejsze niż przed, a megalomania ich autora, to metoda artysty na osobne istnienie, jego zmyłkowy makijaż, ochronna charakterystyka, psychologiczna farbka, izolacja od zewnętrznego świata i celowa poza.

Świadoma, gdyż na każdym kroku podkreśla, że oswobodzenie z artystycznej sztampy dokonuje się przez odkrycie i demistyfikację wszystkich cech obecnych w twórcy.

Zamierzona ekspozycja i prowokacja polegająca na uzewnętrznianiu i wyolbrzymianiu własnych wad i słabości, świadome, niejednokrotnie bolesne eksperymentowanie na sobie, było dla niego niczym więcej, jak zbieraniem i wykorzystywaniem do pisanie tak zgromadzonych doświadczeń. Jeżeli się o tym nie wie, łatwo można pójść po najmniejszej linii oporu i uznać Gombrowicza za kabotyńską, bufonę, pyszałka lub snoba. Z łatwością dać się nabrać na jego pozerstwa i komedianckie miny. Artysta bywa nim wtedy, gdy jest sobą i tworzy tylko poprzez siebie; wtedy jest autentyczny, niezakłany, wolny i wyzwolony od nacisku otoczenia. Wówczas ma własny filtr osobowościowy, który wykształca w nim i narzuca mu indywidualny styl wypowiedzi.

Styl, to człowiek, a człowiek ulega nieprzerwanemu formatowaniu przez los, bezustannemu dostosowywaniu własnej twarzy do zmiennych okoliczności. Styl, to człowiek i jego siła woli; jeśli na dodatek jest artystą, broni się przed atakiem osaczających go ról.

Marek Jastrząb